MACIERZYŃSTWO A PRACA UMYSŁOWA.

Najkonserwatywniejsze nawet żywioły przestały już dzisiaj upatrywać w ruchu kobiet jakiś sztuczny wytwór, spowodowany przez nieliczną garstkę ekscentryczek lub starych panien, lecz pogodziły się z poglądem, że jest to uwarunkowany rozwojem stosunków społecznych prąd biorący siłę i kierunek wogóle z kwestyi społecznej i który w rozwiązaniu tejże kwestyi znajdzie swe ujście

Kapitalizm zmusza kobiety warstw średnich tak samo do konkurowania na polach pracy, przystępnych dotąd tylko ich braciom, mężom i synom, jak kobiety proletaryatu wciągnął do ciężkiej pracy maszynowej.

Zmuszone walczyć o chleb codzienny, narażone b e z p o ś r e d n i o na wszystkie uderzenia losu, na wszelkie zmiany konstelacyj politycznych, społecznych i ekonomicznych, na srogość całą życia zewnętrznego, na jaką przedtem wystawiony był mężczyzna tylko, kobiety zrozumiały, że podobnie jak mężczyźni do walki o byt uzbroić się muszą i jęły dążyć do harmonijnego rozwoju wszystkich sił i zdolności fizycznych, intelektualnych i moralnych, celem możności sprostania swemu zadaniu w życiu.

I oto kobiety warstw średnich cisnąć się zaczęły do szkół średnich, wyższych i fachowych, pragnąc z jednej strony nabyć systematycznego wykształcenia zawodowego, z drugiej zaś tęgości w myśleniu i sądach, łatwości oryentowania się w świecie rzeczy i wypadków i owej obrotności, jakiej wymaga współżycie i współpraca ludzi, na arenie szerszej, aniżeli jest nią życie »towarzyskie«, mające zdobić, urozmaicać monotonię domowego ogniska.

Skutkiem tej pracy nad sobą, pogłębia się i rozszerza życie intellektualne kobiety, nowe interesy i horyzonty otwierają się przed nią, żywiej i intenzywniej tętno jej bić poczyna. Przyroda, nauka, sztuka, wszystkie skomplikowane zwoje życia społecznego, jako takie, zajmować ją zaczynają. Z żalem spostrzega, że bez jej prawie udziału powstały ogromne a wspaniałe gmachy wiedzy i piękna, których wzniesienie wypełniło miliony żyć ludzkich, stwarzało tyleż bólów i cierpień, tyleż bolesnych pytań, lub naprzemian darzyło masą szczęścia i zadowolenia, masą odpowiedzi rozkoszy pełnych — i postanawia odtąd także ze swej strony dorzucać po cegiełce do gmachów przyszłości.

Co dawniej było wyjątkiem tylko: kobieta poetka, uczona, artystka, cudownym kwiatem wyhodowanym na sztucznej glebie arcykorzystnych, wyjątkowych warunków, staje się zjawiskiem coraz częstszem. Z pośród coraz bardziej wzrastającej liczby kobiet, oddających się pracy umysłowej, najczęściej celem

przygotowaia się do zawodu jakiegoś, coraz większa pojawia się liczba prawdziwych talentów, które swego rodzaju piętno, kładą na przedmiocie przez się ujętym, nowym czarem darzą świat, wzbogacając go dziełami nowemi zupełnie. Nowe wartości kulturalne powstają pod tchnieniem tych dusz wyswobodzonych, które wchodzą w żelazny kapitał naszych zdobyczy duchowych i moralnych, a bez których czułoby się już dzisiaj lukę w życiu.

Stokroć piękniej wyglądać zaczyna w świecie ducha, bo oto harmonijnym akordem zlewa się twarda, nieugięta myśl mężczyzny z intuicyjnem pochwyceniem rzeczy przez kobietę; zlewają się w poezyi i sztuce wyrazy uczuć i nadziei mężczyzn, z marzeniami i tęsknotami serca kobiety, które opiewa teraz sama, z całą świeżością i bezpośredniością. Dźwięczniejszem i pełniejszem staje się życie, albowiem brzmią w niem struny, które milczały dotychczas, głęboko ukryte.

Dumą i zadośćuczynieniem napełnia taki stan rzeczy piersi tych, co dla wszystkich ludzi bez względu na płeć, dla każdej jednostki pragną możności jak najpełniejszego rozwoju indywidualności, lecz niektórych ogarniać zaczyna także obawa. Niejednemu nasuwa się dręczące pytanie, zdolne zagłuszyć zadowolenie z takiego rozwoju i postępu, a brzmi ono: czyż kobieta tak rozwinięta, o tak wyostrzonej zdolności myślenia, o takiem wysubtelnieniu uczuć, o takiej mnogości intellektualnych i społecznych interesów, kobieta z zamiłowaniem i talentem, zajmująca się nauką lub sztuką, polityką lub kwestyami społecznemi, czyż taka kobieta może być zdrową instynktowo i cały obszar swych obowiązków macierzyńskich spełniającą matką? Czyż umysłowa praca, nie dyletancka, reproduktywna lub produktywna, odpowiadająca najwyższej skali wymagań, świat obdarzająca wartościami, płodami ducha, bez których już dzisiaj uboższym czućby się musiał, da się pogodzić z macierzyństwem, od którego przecież nic kobiety zwolnić nie jest w stanie? Czy nie mui w duszy kobiet takich zrodzić się konflikt głęboki a niebezpieczny, zdolny zburzyć szczęście ich i spokój i zmusić je nareszcie do poświęcenia jednego z dwóch »zawodów« na rzecz drugiego, macierzyńskiego na korzyść pracy ducha, lub pracy umysłowej, której potrzeba wypływa z wewnętrznego musu, z talentu, na rzecz obowiązków macierzyńskich? I czy wobec tego wzbogacenie i rozwój indywidualności kobiety nie będą okupione zbyt wielką sumą nieszczęść i rozdźwięków?

Co więcej, podobnie jak teraźniejszość wyłoniła się z przeszłości, tak też przyszłość będzie córką teraźniejszości, a cechować ją będą siły, kierunki i instytucye, które dziś już wolno się zawiązują i rozwijać się poczynają. Wolne od walk ekonomicznych i klasowych, wyswobodzone od wyzysku i ucisku, społeczeństwo zdolne będzie wytworzyć ogromną ilość inteligencyi i talentów. Dla kobiety zaś gniecionej i jarzmionej przez tyle wieków, bez względu na rozwój i zmiany społeczne, nastaną złote czasy, prawdziwy wzlot w krainę ducha, istne orgie rozwoju intellektualnego i swobody ducha...

Jeśli istnieje więc antagonizm między macierzyństwem a pracą duchową, to konflikt ten wzmagać się będzie równolegle z rozwojem społecznym. Cóż

stanie się wówczas z ludzkością? Czy najwyższy jej rozwój miałby zarazem oznaczać jej zagładę?

Takie pytania podejmują nietylko obrońcy starych dobrych czasów, »kiedy to matki nasze nie umiały czytać i pisać, a światu dawały prawych obywateli, gorących patryotów«, nietylko wrogowie ruchu kobiecego, którzy zbić niemi chcą z tropu kobiety dążące do równouprawnienia, lecz z całą powagą i troską o przyszłość zajmują się niemi bojowniczki nawet o prawa kobiece.

Oto leży przed nami książka napisana przez panie Helenę Simon i Adelę Gerhard, znane dwie pracownice na polu nauk społecznych, badaczki położenia kobiet zawodowo pracujących i robotnic, a zatytułowana: »Macierzyństwo i praca umysłowa« *). Autorki wymienione szukają odpowiedzi na powyższe pytania w życiu i dziejach sławnych kobiet wieków ubiegłych, oraz w orzeczeniach i wyznaniach kobiet nam współczesnych drogą ankiety

Autorki nie przytaczają nam kwestyonaryusza, to też wiedzieć nie możemy. czy chaotyczność pewna, która cechuje wiele odpowiedzi, oraz ujęcie tychże przez autorki w rezultacie, spowodowane zostały przez kwestyonaryusz, czyli też przyczynę mają w tem, że ekspertki w odpowiedziach puszczały wodze tylko swej wymowie, nie trzymając się bliżej pytań.

Z toku wywodów raczej, aniżeli z precyzyi i określenia punktu widzenia, wnosi się, że autorkom idzie przedewszystkiem o to, czy istnieje antagonizm między macierzyństwem a pracą duchową, że tak powiem, »z bożej łaski«, a nie z »zawodem inteligentnym«. Przeciwnie autorki zdają się stać na stanowisku, że zawód inteligentny, jak wogóle każda praca zawodowa, dla chleba, niezgodną jest z macierzyństwem, mimo to, że niejedna ekspertka podnosi korzystny wpływ uporządkowanego obowiązkami zawodu życia na matkę i zdolności jej wychowawcze. W istocie, jest też dość dużo głosów przeciw zgodności dwojga zajęć kobiety, utrzymujące, że jedno z nich koniecznie cierpieć musi, a którekolwiekby stać się miało ofiarą, szkoda zarówno byłaby wielką, tembardziej, że razem ze sprawą cierpiećby musiała dusza kobiety, targana tak ostremi rozdźwiękami.

Autorki bowiem uważają także macierzyństwo za zawód. Rozumieją przez nie nie tylko ciężar fizyczny, uciążliwości z powodu procesów fizyologicznych, związanych z macierzyństwem, ale też całą sumę obowiązków i prac obejmujących wychowanie fizyczne, intellektualne i moralne dziecka, i tę ogromną ilość obowiązków sięgających poza wpływ matki w obrębie domu tylko. Zgodnie z tem wysokiem pojęciem obowiązków matki, żądają autorki rozległego i rozsądnego wychowania kobiet, należytego wykształcenia jej i przygotowania do przyszłego zadania, oraz praw politycznych dla niej, przez wykonywanie których mogłaby wpływać na wszystkie instytucye i ustawy, związane z losem jej dzieci. Choć autorki tego nie wypowiadają jasno, to jest to przecież żądanie

*) »Mutterschaft und geistige Arbeit«. Berlin 1901.

zupełnego równouprawnienia kobiet na polu politycznem, żądanie prawa wyborczego i wybieralności do wszystkich ciał radzących o prawach politycznych i społecznych, bo wszystkie przecież dotyczą »dzieci naszych«. Matkę nietylko sprawy szkoły obchodzą, ale w tej samej mierze zajmują ją sprawy wojskowe i stosunek, w jakim państwo myśli o nich i szkolnictwie. Tak samo też z samej troskliwości o los »dzieci jej« nieobojętnemi dla niej będą sprawy finansowe, podatkowe, cłowe i t. d., i t. d.

Takie wykształcenie »wyszkolające uczucie« macierzyńskie, nie pozostaje z nim w sprzeczności, lecz przeciwnie konieczne jest i coraz szersze powinno zataczać kręgi. Nauczy ono pojmować obowiązki matki jako ciężki acz słodki i tysiącami promieni szczęścia wynagradzający zawód, zdolny wypełnić szmat życia, jaki potrzebny jest, aby dzieciom dać choćby podstawę do życia przyszłego. Naturalnie, że w czynnościach, składających się na wychowanie dzieci znajduje się ilość znaczna, gdzie matkę zastąpić mogą uzdolnione do tego osoby, bez szkody dla rezultatów wychowania. Lecz większa część wtedy tylko liczyć może na błogie skutki, jeśli obok umiejętności owiewać je będzie owo cudowne uczucie macierzyńskie, które tak często w ciemności nawet znajdzie drogę i do celu trafi, ów tajemniczy czar miękkości i słodyczy, towarzyszący najenergiczniejszemu nawet kierownictwu matki. To też autorki wyrażają nadzieję, że w społeczeństwie przyszłości, które wzniesie się do uznania doniosłości obowiązków matki, zawód macierzyński uwalniać będzie kobiety od wszelkiej innej pracy zawodowej i sam przez się zapewniać im będzie możność zaspokojenia wszystkich potrzeb. Praca zawodowa zaś obowiązywać będzie tylko kobiety bezdzietne, a matki w okresach tylko, w których wolne będą od obowiązków macierzyństwa, pojętych jak najszerzej.

Że macierzyństwo zawodem jest i dziś jako taki jest traktowane, widzimy już z tego, że ile razy matka nie może spełniać obowiązków swych, bo pracować musi na chleb, lub spełniać ich nie chce, powierza je osobom zawodowo trudniącym się temi czynnościami, w miejsce swe przyjmując mamki, niańki, bony i t. p.

Jeśli w wypadku, gdzie matka skutkiem warunków materyalnych zmuszona jest pracą duchową zarabiać na chleb a równocześnie spełniać obowiązki macierzyńskie lub część takowych powierzać w ręce osób płatnych, powstaje konflikt w duszy kobiety, to konflikt ten jest powierzchowny i czasowy tylko. Sprawiają go bowiem zewnętrzne warunki, a nie rozdwojenie duszy wewnętrzne. Przy lada poprawie stosunków materyalnych zwycięży matka nad zawodową pracownicą, która bez żalu rozstanie się z polem pracy, mającem dla niej tylko znaczenie żywiciela.

Dziś już polityka społeczna stara się matkę uwolnić na czas pewien przed i po urodzeniu dziecka od pracy, a czas ten w miarę postępu przedłuży jak najdalej, wyznaczając substytutki dla miejsc, które pracownice owe wypełniały.

Ochrona matki powinna obowiązywać nietylko w pracy fabrycznej, ale i w zawodach inteligentnych; urzędniczkom, nauczycielkom, buchalterkom, artystkom teatrów i t. p., zapewniając urlopy dłuższe, przynajmniej na kilka miesięcy przed i kilka miesięcy po porodzie. A matki z wdzięcznością zarządzenie takie przyjmą; żadne cierpienie, ani sumienia wyrzuty nie zamącą im szczęścia, jakie znajdą w zajęciach około dzieci.

Ale wiecznym, niczem usunąć się nie dającym i tragicznym musiałby być konflikt, gdyby z natury rzeczy istnieć musiał w duszy kobiety, oddającej się pracy umysłowej z musu wewnętrznego, z rozkazu zdolności twórczej w jakimkolwiek kierunku.

Natchnienie nie czeka, aż dziecko będzie nakarmione, albo dostatecznie odchowane. Każda przerwa spowodowana zewnętrznemi przeszkodami wypaczyć może dzieło fantazyi, a nawet myśli i dociekań dłuższych. Z drugiej strony poetka, artystka, kobieta pracująca naukowo nie pozbawiona jest siły uczuć macierzyńskich i jej dusza rwie się do spełnienia słodkich obowiązków matki, które tembardziej rozciągać chce poza ciężary fizyczne, im więcej dać może istocie ukochanej ze skarbca umysłu i serca swego. Im subtelniejszą więc będzie dusza, tem umiłowania jej będą gorętsze, silniejsze, tem głębszy tragizm rozdźwięku.

Czy potwierdza to jednak ankieta i badanie przeszłości?

Nie zawsze i nie zupełnie. Było dość ekspertek, które umiały pogodzić swoje aspiracye duchowe i artystyczne, oraz pracę naukową z macierzyństwem. Niektóre z nich podnoszą nawet dobitnie, że macierzyństwo właśnie z wszystkiemi ciężarami i obowiązkami, z bólami i rozkoszami, z obawami i nadziejami, których tak jest pełno, to źródło nieskończonem bogactwem tryskające dla artystycznej duszy, a nawet dla uczonych podniety pełne. Czyni ono życie wszechstronniejszem, pełniejszem, zaostrza wzrok i umysł ogromnie, odkrywając im niewyczerpane źródła, skąd twórczość ducha czerpać może natchnienia.

Ale były też ekspertki w liczbie dość znacznej, które upatrywały tamę w macierzyństwie dla produktywnej poważnej pracy, której rezultaty niejako oddzielićby się dały od indywiduum, skrystalizowawszy się w jakiemś dziele wartościowem.

Autorki podzieliły prace duchowe na grupy jak: artystki dramatyczne i śpiewaczki teatrów; muzyczki, wirtuozki i kompozytorki, rzeźbiarki, malarki, kobiety nauki; nareszcie agitatorski, essay'istki i dziennikarki. Otóż najczętszymi okazały się konflikty u artystek, których praca odrywa je od domu i dzieci, na dni, tygodnie i miesiące całe, każąc im podróżować itp., tak samo u agitatorek, z tychże samych powodów, i poetek, które choć są w domu i przy dzieciach, często dalej od nich się znajdują, aniżeli, gdyby miejscowo się oddalały, — w chwili gdy natchnienie i zapał twórczy unosi je daleko od wszystkiego, co je otacza.

Lecz i pomiędzy temi kobietami, które zaznaczały konflikt ten w chwilach,

kiedy uczucia i obowiązki macierzyńskie odrywały je od pracy, gdy równocześnie, jak gdyby jakiś głos wyższy powoływał je do niej, znajdowały się takie też, które przyznawały, że nie było to jednak ze szkodą większą dla działalności ich, albowiem pauza dłuższa dozwalała im dojrzewać w niej, nabrać większej siły i pogłębienia, tak że praca później darzy je większem zadowoleniem, aniżeli przedtem. Takich najwięcej było między agitatorkami.

Nie będziemy tu przytaczać licznych jeszcze kwestyj i kwestyjek ubocznych, które wyłaniają się z takiego postawienia pytania, ani różnorodnych, a czasem arcypięknych formą i treścią odpowiedzi, ale też ciaśniejszych często, lub szerszych, aniżeli wymagało pytanie, lecz wrócimy się do rozwiązania kwestyi, jak pojmują je autorki.

Powiadają one: prócz małej liczby duchowo pracujących kobiet, których twórczość, mówiąc w najszerszem znaczeniu, dojrzewa i pogłębia się dopiero w wieku późniejszym, gdy zadanie macierzyńskie już spełniły, wysunięcie pracy duchowej u innych kobiet do czasu późniejszego oznaczać by musiało dotkliwą szkodę dla jej rezultatów, zmarnowanie talentu. Skutkiem tego nieuniknionym jest konflikt między twórczością artystyczną i naukową a spełnieniem się życia kobiecego. Wprawdzie nie na wszystkich polach pracy duchowej celibat okazuje się jako tamujący kobietę w pełni jej życia i twórczości, ale mimo to rozwój indywidualności kobiety wymaga zupełnego wyżycia się jej jako istoty płciowej i matki. Tylko taka kobieta, która przeszła przez wszystkie fazy kobiecego życia, wyczerpująco reprezentuje płeć swoją w całej pełni i bogactwie istoty tejże, a zarazem rozszerza granice rozwoju jej. Kobiety utalentowane bowiem bynajmniej nie są okazami zwyrodniałymi, i tak samo, a jeszcze więcej, głębiej i goręcej odczuwać umieją szczęście macierzyństwa. Toteż wyrzeczenie się macierzyństwa sprawdzićby musiało degeneracyę kobiety twórczej i odbić się na pracy jej umysłowej.

Ale też taką samą degeneracyę jej spowodowaćby musiała rezygnacya z pracy duchowej, a szkoda ta byłaby nietylko osobistą, ale dla ogółu dotkliwa. Miarą tu bowiem wartości kulturne zastąpić się niedające, które rozstrzygają o prawie egzystencyi duchowej pracy kobiety.

Co z tego wynika. Oto przedewszystkiem zprecyzujmy ten termin, że macierzyństwo jest »zawodem«, co nieraz mąci jasność wywodów. Nie jest przecież zawodem cały obszar macierzyństwa, jak nie jest zawodem przynależność do jednej lub drugiej płci. Zawodem więc będzie wszystko to, co odnosi się do koniecznych »obowiązków« matki, a więc wydanie dziecka na świat. Pozatem wszystko inne da się załatwić przez zawodowo do tego uzdolnione osoby, pod okiem czułości i troskliwości matki. Jeśli zawód wychowawczyń obierać będą kobiety tylko do tego powołanie i zdolności czujące, kierowane miłością do pokolenia młodego, a należycie do tego wykształcone, to konflikt powstający w duszy matki, którą wzywa głos natchnienia lub myśl twórcza do pracy, cenniejszym będzie, bo odrywając się od dziecka swego

wiedzieć będzie, że w dobre powierza je ręce. Jest to kwestya warunków ekonomicznych, której rozwiązanie schodzi się z rozwiązaniem kwestyi społecznej.

Ale jeżeli fizyczne i fizyologiczne macierzyństwo źródłem jest konfliktu tego oraz uczucie jakieś, natenczas nic konfliktu tego znieść nie jest w stanie.

Lecz my ze swej strony wcale wielkiego w nim nie upatrujemy nieszczęścia ani dla jednostki trzeciej, ani dla ogółu.

Ludzi i ludzkości niegodne są nieszczęścia i konflikty tylko, które wypływają z rozdźwięku między aspiracyami moralnemi i duchowemi, z zewnętrznemi warunkami, brakami ekonomicznemi, lub niewolą społeczną i polityczną. Warunki takie ściągają duszę do ziemi, rozwojowi jej uczynną kładąc tamę, Ale konflikty wewnętrzne, stające przed duszą, jako wielkie zagadki, któreby rozwiązać pragnęła płynąca z czystej miłości, lub tęsknoty za najwyższem, te podnoszą nas, czyniąc z nas bogów. Są one podnietą i uskrzydleniem dla duszy i twórczość wzmagają. Rezultatami ich arcydzieła świata, arcydzieła poezyi i sztuki. Nie boimy się tych konfliktów i bólów, byleby ustała tylko podła walka o byt materyalny, niecny wyzysk mięśni i mózgów ludzkich w celach wzbogacania się i ceny targowe na najdroższe uczucia i najwznioślejsze dzieła ducha. *Dr. Salomea Perlmutter.*

Dr. FELICYA NOSSIG.

CZY I O ILE ROZWIJAĆ SIĘ MOŻE W GALICYI PRZEMYSŁ DOMOWY? *)

Kto zna chociażby pobieżnie ekonomiczne i robotnicze stosunki w naszym kraju, a specyalnie warunki pracy kobiecej — z jednej strony ogromny brak pracy, z drugiej straszny wyzysk, ten zrozumie, że trudno dziś chyba oznaczyć zupełnie dokładnie i z wszelkimi szczegółami, jak złemu zaradzić, jakie gałęzie pracy popierać a jakich zaniechać, na jakich zasadach ekonomicznych do organizacyi jakiejkolwiek zabrać się należy i *last not least,* jakim kapitałem rozporządzać by trzeba. Każdy człowiek inteligentny wie dziś, że przystępując do praktycznej akcyi ekonomiczno-społecznej, czy to na wielką czy na małą skalę, trzeba oprzeć się na istniejących warunkach i na panującej tendencyi ekonomicznej, w przeciwnym bowiem razie byłoby to pływaniem przeciw prądowi, czyli marnowaniem sił bez dopięcia celu. Ale o tem, jakie są te panujące tendencye ekonomiczne, o istotnych ekonomicznych warunkach naszego kraju, o kwestyi uprzemysłowienia kraju, o warunkach rozwoju wielkiego i drobnego

*) Ponieważ otworzyliśmy dyskusyą na temat przemysłu domowego w Galicyi — zamieszczamy drugi z rzędu artykuł oświetlający tę sprawę z innego punktu widzenia niżeli autorka, która pierwsza zabrała głos w tej sprawie.

przemysłu, pojęcia u nas są jeszcze tak nie jasne, że obowiązkiem naszym przedewszystkiem winno być pewne ogólne zorjentowanie się, poznanie terenu i wytknięcie granic i rozmiarów działania, czyli zastosowanie zamiarów z jednej strony do warunków i sił przyrodzonych, z drugiej strony do naszych własnych sił i środków.

W tej przedwstępnej pracy mogą oddać usługę niektóre wskazówki, opierające się na najnowszych zasadach fachowo-naukowych. Przedewszystkiem zaś w kwestyach tych wystrzegać się należy zarówno zbytniego pesymizmu, jak i przesadnego optymizmu.

Pesymizmem byłoby, gdybyśmy się dali odstraszyć ogromnemi trudnościami, gdybyśmy porównując ogrom tego, co zrobićby należało ze skromnością sił i środków naszych, opuścili małodusznie ręce, i pogrążyli się w desperacyę lub indyferentyzm. Pesymizmem także byłoby, gdybyśmy się ulękli wywodów doktrynerów, którzy zapatrzeni w loiczną niezbitość pewnej teoryi, chcą ją zastosować zawsze i wszędzie, zapominając o tem, że w życiu grup społecznych spotyka się tysiączne nieloiczności — zresztą tylko pozorne, gdyż dające się również wytłumaczyć pewną teoryą. Doktrynerzy ci w ferworze swym zapominają też zwykle o tem, że chociaż ogólny kierunek rozwoju form społecznych i ekonomicznych jest dany, to jednak linia rozwojowa nie jest wcale linią prostą, t.j. najkrótszą między dwoma punktami, ale jest wielokrotnie linią krętą i łamaną, a tysiączne przypadkowości mają spowodować stagnacyę tego ogólnego rozwoju albo nawet na dłuższy przeciąg czasu powrót do jakiejś dawnej formy. Akcya praktyczna, która ma na celu bezpośrednie dobro pewnej grupy społecznej, musi się z temi przypadkowościami liczyć. Powtarzają nam bezustannie, że przemysł domowy, to przeżyta forma ekonomiczna, skazana na wyginięcie, że ustąpić ona musi miejsca wielkiemu przemysłowi fabrycznemu, że mylnem jest jakoby przez popieranie przemysłu domowego podnieść można dobrobyt ludności robotniczej, bo jest on tylko środkiem najstraszniejszego wyzysku i prowadzi niechybnie do tak zwanego sweater — systemu, którego zgubne skutki niszczą ludność robotniczą; wykazują nam też, że wszelkie korzyści przepisywane przemysłowi domowemu, zwłaszcza dla kobiet — jak większa wolność, możliwość dozorowania gospodarstwa i dzieci, są zupełnie iluzoryczne, ponieważ praca w przemyśle domowym absorbuje cały dzień i część nocy robotnicy a nadto podkopuje zdrowie dzieci wciąganych również do pracy.

Niedawno dopiero czytaliśmy te uwagi w artykule pani Dr S. P.: »Kilka słów o przemyśle domowym« w zeszycie 6 »Nowego Słowa«. Z ironią traktuje autorka tu »nasze panie, które chciałyby dorzucić garść pracy do ogólnych usiłowań około podniesienia kraju« i »żyją w przekonaniu, że przez wprowadzenie przemysłu domowego pod chaty wiejskie rozwiążą wielką część naszej kwestyi społecznej — a co najgłówniejsza, pomnożą bogactwo kraju i powagę jego wobec zagranicy«.

Uwagami takiemi nie trzeba się zrażać, ale spokojnie rozpatrzeć czy

i o ile one mogą mieć zastosowanie do naszych galicyjskich stosunków, a następnie zastanowić się nad tem, czy rzeczywiście my mamy, lub powinniśmy mieć cel tak wielki, jak rozwiązanie kwestyi społecznej albo chociażby nawet popieranie pewnej formy ekonomicznej wbrew panującej tendencyi ekonomicznej. I tu właśnie podnieść należy drugą stronę poruszonej na wstępie kwestyi, tj. wystrzeganie się zbytniego optymizmu.

Musimy przedewszystkiem jasno zdać sobie sprawę z naszych motywów i naszych celów.

Idzie więc o to, jakie może być w obecnej chwili nasze zadanie? Czy popieranie przemysłu domowego jest dla nas głównym celem?

Zdaje mi się że nie; popieranie przemysłu domowego jest dla nas tylko środkiem do celu. My patrzymy na nędzę ludności robotniczej miejskiej i wiejskiej i chcemy ją wedle sił naszych złagodzić. Za najlepszy zaś środek do złagodzenia nędzy ludności robotniczej a poszczególnie kobiet pracujących w mieście i na wsi, uważamy w danej chwili i w naszych galicyjskich warunkach przemysł domowy, i to tem bardziej, że widzimy możliwość przez popieranie tego przemysłu wyrugować wyroby niemieckie, którymi kraj nasz jest zalany.

Powtarzam więc, popieranie przemysłu domowego jest dla nas środkiem a nie celem, a to jest różnica bardzo ważna, bo środek, skoro przestanie odpowiadać celowi, może być usuniętym i zastąpiony innym. — Nie wyobrażajmy sobie więc, że zaprowadzając lub popierając w kraju niektóre gałęzie przemysłu domowego, rozwiążemy kwestyę społeczną, albo powstrzymamy lub pokierujemy na inne tory rozwój uwarunkowany całokształtem stosunków ekonomicznych, pozostańmy w obrębie bezpośredniego i skromniejszego zadania: pracujmy nad polepszeniem doli kobiet pracujących miejskich i wiejskich i nad wyrugowaniem wyrobów niemieckich.

Ażeby zaś ustalić przekonanie, że nie jesteśmy na błędnej drodze uważając popieranie przemysłu domowego, jako środek najodpowiedniejszy, wiodący do osiągnięcia naszych celów, uprzytomnijmy sobie pokrótce istotę przemysłu domowego w ogólności, i form w jakich on w obecnej chwili przejawia się w Galicyi. Z tego wynikną też pewne wskazówki co do sposobu organizowania u nas przemysłu, i co do uwzględniania pewnych zawodów.

* * *

Najdokładniejsze określenie istoty przemysłu domowego znajdujemy w »Handwörterbuch der Staatswissenschaften« w rozdziale »Hausindustrie«: »Przemysł domowy jest to taka forma wytwórcza kapitalistycznego przedsiębiorstwa, przy której robotnik pracuje u siebie w domu lub w warsztacie«. Jest to zatem decentralizacya produkcyi. Ta forma produkcyi przedstawia dla przedsiębiorcy wielkie korzyści, a mianowicie: ogromne zmniejszenie wydatków, gdyż

odpada opłata za lokal, oświetlenie, opał i kontrolę robotników; niska płaca robocza, gdyż z powodu decentralizacyi pracy, prawodawstwo ku ochronie pracy robotniczej ma do siedzib przemysłu domowego przystęp utrudniony, nareszcie skutkiem tego, że kapitał nie jest uwięziony, lecz cały w obrocie, może przedsiębiorca każdej chwili zmniejszyć lub zwiększyć, albo i zaprzestać produkcyi bez wielkiego ryzyka. Nowoczesna ekonomia rozróżnia dwie główne kategorye przemysłu domowego: przemysł dawniejszy, przeważnie wiejski, i nowoczesny, przeważnie miejski. Ten dawniejszy był prawie równoznaczny z rzemiosłem wiejskiem i polegał na tem, że robotnik sam, na własny rachunek wytwarzał towary i sam je sprzedawał, najczęściej wędrując z nimi po kraju. Przemysł ten jest już na wyginięciu. Tu należą np. wyroby druciane, jak łapki na mysze itp., zabawki po wsiach wyrabiane, w innych krajach towary norymberskie, wyrób instrumentów, zegarów itd.

Nowoczesny przemysł charakteryzuje się tem, że jest nakładowy tj. robotnik jest producentem, ale otrzymuje zlecenia od nakładcy, który się zajmuje całą kupiecką stroną przedsiębiorstwa. W tym nowoczesnym przemyśle rozróżniamy znów dwie formy: pierwsza, gdzie robotnik pracuje u siebie w domu, druga, gdzie pracuje w warsztacie. Przy właściwej robocie domowej pracuje zwykle cała rodzina. Ale w dalszym rozwoju, gdy liczba robotników bardzo się zwiększa i jest rozsiana na dalsze obszary wsuwa się między nakładcę i robotnika jeszcze faktor, czyli agent, który materyał i zlecenia robotnikom doręcza i towary nakładcy donosi. Dalsza faza rozwoju roboty domowej następuje, kiedy faktor przestaje być zawisłym od nakładcy, staje się samodzielnym przedsiębiorcą i tylko stoi w stosunkach kupieckich z głównym przedsiębiorcą. Wtedy wyzysk staje się największym, bo im większa liczba pośredniczących, tem mniejszy zysk dla robotnika. C. d. n.

SŁOWO WSTĘPNE W SPRAWIE DOPUSZCZENIA KOBIET DO KRAKOWSKIEJ AKADEMII SZTUK PIĘKNYCH.

Są sprawy, które, jak nieszczęśliwe, lub źle kierowane parowce, mają szczególną zdolność wyszukania sobie tak wygodnej mielizny, że grzęzną na całe lata w zapomnieniu. Jedną z takich jest w naszem społeczeństwie sprawa kobiet. W szeregu przeszkód, na jakie ona natrafia w swym rozwoju, dostojne miejsce zajmują widoczne i ukryte mielizny, skrzętnie usypywane i strzeżone przez mężczyzn. Na tym wąziutkim szlaku, w którym posuwa się zwolna wątła łódź artystycznej twórczości kobiet w dziedzinie malarstwa i rzeźby, potrafili mężczyźni rozstawić piaszczyste kopce przesądu. Na te jedyne w swoim rodzaju budowle składa się męzki spryt, ignorancya, feodalizm natury męzkiej, konku-

rencyjna chciwość. Tym piaskiem »posypano« już niejednokrotnie w rozmaitych biurach męzkich prośby kobiet o wstęp do krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, a piasek ten ma dziwną własność: zamiast strzedz od zatarcia — niszczy zupełnie, oddaje zapomnieniu. Trzeba w tej sprawie użyć innej drogi. Dajmy pokój z uciekaniem się do wielojęzycznej uprzejmości rozmaitych panów kierowników, dyrektorów i innych, już rozumiejących kobiety i umiejących z niemi rozmawiać, wierzących w swój nęcący męzki uśmiech więcej, niż w ich rozum, uwzględniających wszakże tego rozumu wybryki — i zwróćmy się tam, gdzie wszelkie słowo, prośba słuszna, czy protest mają drogę najbardziej utorowaną. Jest to droga parlamentarna. Doprowadzi ona w przyszłości do rostrzygnięcia sprawy pod względem prawodawczym. Na tej drodze będziemy jaknajmniej narażeni na galicyjski tużurkowo-frakowo-kontuszowy flirt i zdołamy coś zdobyć. »Kobieta przeważnie bawi się malarstwem, przytem, ponieważ jej mózg jest lżejszym, więc nigdy do wyżyn sztuki nie dojdzie, a zresztą nawet w swojem ubogiem kole twórczem, będzie przyjmowała tańsze zamówienia na portrety i na pejżaże (mężczyźni przyjmują już i takie zamówienia). Ten arsenał obronny znajdzie w parlamencie, w umiejętnem ujęciu mówcy, właściwą ocenę, a kwestya pomimo aż tak ważnych przeszkód, posunie się naprzód. A trzeba ją popierać, gdyż coraz częściej napotykamy na królewskim gościńcu męzkiej działalności artystycznej — przybłędów płci żeńskiej, którzy niemile nas uderzają widoczną przewagą, a conajmniej równością talentu. Niech ci niebezpieczni rywale jaknajprędzej wypowiedzą się w zbiorowej petycyi i niech mają pewność, że nie zalegnie ona tym razem koszów redakcyjnych i biurowych i doprowadzoną będzie do momentu, gdzie powstaje konieczność prawa obowiązującego. Prawo, otwierające kobietom wstęp do Akademii Sztuk Pięknych, będzie dla kobiet polskich dobrodziejstwem, a zarazem bogatym materyałem dla polskich Jeremiaszów emancypacyi, zwłaszcza dla tych, którzy całą swą męzkość w bohaterski sposób ofiarowali na rzecz walki z kobietą. Zebranie kobiet w tym celu i sporządzenie petycyi zbiorowej jest tymczasem rzeczą pierwszej wagi i powinno leżeć na sercu każdej z pracowniczek na polu artystycznem. Chociaż wołanie o akademię wogóle jest smutną koniecznością, gdyż twórczość artystyczna jaknajmniej akademicką być winna, jednak wobec istniejącej Akademii Sztuk Pięknych ułatwiającej kształcenie się w sztuce pedagogicznie i materyalnie, wobec zresztą zasadniczego prawa wszelkiej emancypacyi, kobiety mają prawo i obowiązek starania się o zajęcie tej placówki społecznej. Jeżeli artysta mężczyzna ma prawo do przebrnięcia okresu akademickiego i uświadomienia go sobie, niewolno tego bronić artyście-kobiecie. Sprawiedliwość społeczna jest tu jedynym argumentem, a wszelkie niebezpieczeństwo stąd pozornie płynące — to zła wola nieuświadomionych ludzi. *Tadeusz Ulanowski.*

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Nowy Jork 22 lipca 1892.

Mówią, że człowiek o wyższym poziomie umysłowym przyjeżdża do Ameryki po to — aby zmarnieć. Marnieje intellektualnie, bo wszystko co go otacza zbliska jest tak dalekiem od artystyczno-literackich nawyknień, jakie wywiózł z kraju, iż doznaje wrażenia, że się dostał nie do drugiego największego miasta w świecie, jakiem jest Nowy Jork po Londynie, ale do jakiegoś olbrzymiego ula, w którym każda pszczoła brzęczy dolarami, wołając: »Kto da więcej«. Owa gorączka złota, owo zaciekłe uwijanie w celu przygotowania reklamą i humbugiem każdego chociażby najdrobniejszego »bussinesu«, wytwarza atmosferę tak odrębną i dziwnie mroźną, że jeżeli człowiek, nie mający z nią nic wspólnego, nie napotka wypadkowo na jakieś ciepłe ognisko, gdzieby się ogrzał i otrząsnął z tych wrażeń kupieckich — zmarnieje psychicznie. A jeśli nie wywiózł z kraju sakwy ile tyle wyładowanej banknotami, zmarnieje szybciej jeszcze fizycznie. Bo bądź co bądź ten duch nasz jest strasznie wytrwały. Kurczy się, dławi z bólu, ale idzie naprzód. Energia i ból to nawet dwa bratnie objawy ducha, idące ręka w rękę w walce o byt. Inaczej z ciałem. Ono bez wymaganych substancyj szybko zmierza ku upadkowi. I oto żywiołowy powód tej czci dla dolara. A o niego na gruncie amerykańskim stokroć trudniej ludziom pracy umysłowej, aniżeli tym, co za ocean wywożą urobione i sprężyste mięśnie. (Nieliczne wyjątki stanowią ludzie wielkiej sławy i jeszcze większej reklamy). Kucharz (czarny czy biały), lokaj, praczka, szewc, krawiec -- bez znajomości nawet języka znajdą zajęcie bardzo szybko. Człowiek wykształcony, a więc nauczyciel, artysta, doktor musi sobie najpierw wyrobić nazwisko, co w najlepszym razie trwa rok, dwa, w najgorszym pięć i sześć. Szesnastaletnia dziewczynka, czeszka, która mi usługuje od dwóch miesięcy, zaszła dziś do mnie po radę gdzieby mogła zdać na pocztę 25 dolarów, ktore chce posłać matce. Zaoszczędziła je przez pierwsze dwa miesiące pobytu w Nowym Jorku. Gdy objawiłam z tego powodu lekkie zdziwienie, zapewniała mnie, że zadowoloną nie jest bo »gdybym była pojechała do Alaski, jak inni z mojej wsi, byłabym dotąd zarobiła nierównie więcej«. Ale już powodzenie panny sklepowej, od której żąda się pewnej umiejętności i doświadczenia, zarysowuje się w mniej jaskrawych barwach. Przed dziewczyną młodą, ładną, zręczną i pracowitą, taką zwłaszcza, która się może wykazać dłuższą praktyką, w Nowym Jorku wszystkie drzwi są otwarte. Ale niechno adeptka sztuki handlowej przekroczy 30—40 lat, albo niechaj przybędzie z prowincyi lub z Europy, wówczas znalezienie pracy nie przedstawia się wcale tak ponętnie, jak »służącej do wszystkiego«. Sytuacyę w takim razie ratuje protekcya — najwszechwładniejsza pani i na gruncie amerykańskim. To samo odnosi się i do mężczyzn. Długoletnia praktyka w Nowym Jorku jest najlepszą rekomendacyą dla każdego kandydata. Jeśli przybył z Filadelfii albo Baltimore, to już ogromnie sprawę utrudnia. Odprawiają go z niczem w stu miejscach, nim w 101 przyjdzie do umowy. Często bardzo rozczarowany przybysz po kilkomiesięcznych staraniach wracać musi do swojej pierwotnej siedziby. Nie mogłam z początku zrozumieć tej dziwnej niechęci do przybyszów z własnego nawet kraju. Teraz rozumiem o co im chodzi. Nowojorczyk przedstawia jakby wytworniejszą rasę amerykańską. Ma on się do Baltimorczyka albo Filadelfczyka, jak się ma paryżanin do lyończyka, albo krakowianin do wieliczanina. Jakaś większa ociężałość ruchów, rodzaj serdecznej melancholii, mało licującej z businesem wielkiego stylu, charakteryzuje przybyłych z prowincyi. Nowojorczyk jest we wszystkiem, jak się mówić zwykło »quick« i »stylish«; jego praca jest wydatniejszą, energia sprężystszą, a jego inteligencya ma coś z tej srebrzystości wielkomiejskiej, która się udziela dzieciom, a nawet psom i kotom (jak w Paryżu n. p.). A co już oczywiście najwyżej ich stawia, to ów naturalny popęd do robienia pieniędzy, względnie ułatwienia masowych zbiorów fortuny. Słowem jest to

»iedal«, na którego przybyły z prowincyi patrzy z uznaniem i drobnym odcieniem zazdrości. O tem, aby taki kandydat z prowincyi, często bardzo nawet uzdolniony, dostał się do jakiego banku lub innej finansowej instytucyi, mowy być nie może. Te posady rozdają się w zaufaniu, za protekcyą, w najbliższem otoczeniu.

Ale poprzednie trudności mają się do tych, jakie czekają człowieka inteligencyi, szukającego pracy, co najmniej jak wieża Eiffla do ogółu gmachów w Paryżu. Składa się na to dużo rzeczy. Przeciętny Amerykanin o wykształcenie nie dba. Literatura, nauka mają dla niego wartość o tyle, o ile służą za filar do podtrzymania businessu. Nauka dla nauki jest utopią, nad którą przeciętni Amerykanie przechodzą szybko do porządku dziennego. Stąd zaś konieczne następstwo: bardzo mała ilość posad prywatnych, Powtóre każda instytucya na cele intellektualne istnieje poparciem wielkich finansistów, który to stosunek wytwarza bardzo niesmaczną zależność ciał naukowych tego rodzaju nawet jak uniwersytet Columbia — od potentatów finansowych. Na skinienie tego lub innego milionera, miernota, o której nikt nigdy nie słyszał, zajmuje katedrę z pensyą kilkunastu tysięcy dolarów, podczas gdy ludzie wykładają honorowo, czekając na płatne posady. A nakoniec niezwykłe nierówności w świecie ludzi pracujących umysłowo i fachowo wprowadza — reklama, której służą takie potęgi dziennikarskie, jak »New York Herald« i »World«; cała rzesza młodszych braci.

Są to szachownice, za których się rozgrywają miliony różnych partyi, w których wygrywa »humbug«, przegrywa szanujący się pracownik. O talencie reklamowania się nowoprzybyły nie ma zazwyczaj najmniejszego pojęcia. »Takie ogłoszenia — pouczał mnie raz nauczyciel języka angielskiego — nie mają żadnego wpływu na publiczność. Ogłoszenia należy pisać umiejętnie i metodycznie«. To mówiąc pokazał mi pudło z wycinkami własnych ogłoszeń, które przeglądaliśmy z namaszczeniem. »Na ogłoszenia — mówił — nie należy żałować ani czasu, ani pieniędzy. Pisząc je, trzeba się najpierw dobrze zastanowić jaki jest poziom umysłowy czytelnika, co go wzrusza i przekonuje, a co pozostawia chłodnym. Dobre ogłoszenie zaczyna się dopiero od dolara (5 koron), a im ono jest droższem, tem skuteczniejszem«. To też szkoła jego jest zawsze przepełniona. Gdyby zaś lekarz kontentował się ogłoszeniem za 1 dolara, nie znalazłby nigdy pacyentów. Niektórzy drukują całe szpalty każdego dnia i to nie w jednym, ale w kilku dziennikach. Do tych ogłoszeń, prócz szeregu tytułów, wydanych lub niewydanych prac, i chorób, jakie leczy w 10, 20 lub 30 dniach, dołącza się własną fotografię, pod którą n. p. umieszczonym jest tego rodzaju fajerwerkowy podpis: »I advertise cohat I do and do what I advertise« (ogłaszam co czynię, a czynię co ogłaszam). Lekarze ci, jak mnie zapewniano, mają największą praktykę.

Taka atmosfera dla człowieka, co się wybrał z inteligentnego środowiska Europy, aby z tej wielkiej amerykańskiej kultury wyłowić także jakie ziarenko złota, ale bez zrzeczenia się swego ducha i indywidualności, jest istotnie duszną i gryzącą. Do tego dołącza się brak przystępu do kół inteligentnych (bez poparcia osób mających znaczenie w kraju). Amerykanie są niezmiernie uprzejmi dla cudzoziemców przybywających w celu zwiedzenia nowej ziemi, ale ta uprzejmość zamienia się w nienaturalną sztywność, gdy się okaże, iż wychodźca jest kandydatem, za którego plecami nie stoi żaden Vanderbildt, albo Gould, a chociażby Paderewski. Te to warunki wyrobiły w poglądach przybyszów »inteligentników« jak ich Polacy nazywają, rodzaj smętnego pessymizmu. A pessymizm ów gnębi zresztą nietylko przybyszów, ale i tuziemców. Przed kilkoma laty zorganizowano z tego powodu stowarzyszenie pod nazwą »pracowników mózgu«, które ma na celu kojarzenie sił intelektualnych całego kraju, wzajemne wspieranie się i dążenie ku lepszej przyszłości. A jednym z gorących przewodników tego stowarzyszenia jest I. Waszyngton, pochodzący z bocznej linii pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Oby z lepszą przyszłością, jaka się rysuje dla pracowników ducha, zajaśniała i lepsza dola dla autochtonów tej ziemi, Indyan.

Z wolności i lojalności praw konstytucyi amerykańskiej korzysta biały jak murzyn, Hiszpan, Anglik, Polak jak Chińczyk — z wyjątkiem praojców tej ziemi. Nie wolno się im przesiedlać, nie wolno obierać miejsca pobytu gdzieindziej, jak tylko na kawałku ziemi, które im państwo wyznaczyło. Jakaś dziwna ironia losu tkwi w tym fakcie dziejowym.

KRONIKA.

Szkoła deklamacyi i gry scenicznej założona w Krakowie przy ulicy Garncarskiej liczba 3, parter, przez panią Gabryelę Zapolską zostanie otwarta w najbliższym miesiącu. Wpisy już się przyjmują, opłata jest stosunkowo nie wielka. Pani Zapolska urządza u siebie lekcye literatury dramatycznej polskiej i powszechnej, kostyumologii, mimiki, tańca, wogóle wszystkiego, czego trzeba człowiekowi chcącemu pracować na scenie. Jako nowość zapowiada p. Zapolska lekcye gry scenicznej dla śpiewających.

O bliższym programie informuje sama p. Zapolska, jest on umiejętnie obmyślony i dobrze ułożony. Naukę sceniczną chce p. Zapolska prowadzić metodą Talbota, jednego z najsławniejszych dramaturgów francuskich, którego była uczenicą.

Kilka Polek ukończyło studya wyższe w Paryżu w roku bieżącym. I tak wydział przyrodniczy ukończyła panna Eugenia Kutner i pani z Kosowskich Motz; wydział lekarski: pani Drzewina-Klimowicz i panna Wanda Szczawińska; wyższy kurs szkoły dentystycznej ukończyła panna Helena Motz.

Gleichheit, pismo poświęcone sprawom robotnic, zamieszcza ciekawe cyfry statystyczne, z kogo się rekrutują prostytutki. Cyfry te podała w swojej mowie »O nędzy służby« pani posłowa Marquardt. Od marca 1900 r. do marca 1901 przeszło rewizyę policyjną 1689 dziewcząt w Berlinie. Z ogólnej tej liczby 1689 dziewcząt było 379 służących (36 posługaczek i 6 kucharek w tej liczbie), 300 wyrobnic, które były uprzednio służącymi, 176 szwaczek (tak samo uprzednio służących), 171 kelnerek (pochodzących ze służących); razem suma wynosi 1026 służących czynnych lub byłych, a 663 prostytutek pochodziło z innych zawodów.

Cyfry te wydobyła pani Marquardt ze spisów statystycznych w policyi. Skonstatowała przy tem, że w jednym roku przybyło 60% prostytutek ze służących. Jako przyczyny takich stosunków podaje p. M. następujące: życie w wielkiem mieście odosobnia dziewczynę od rodziny i jej wpływu. Drugie brak nieustanny czasu na rozrywki i zupełny brak w odpowiedni sposób urządzonego wypoczynku i przyjemności, któreby odpowiadały potrzebie. Po trzecie bezwzględne uwalnianie ze służby na lato, przytem drogie mieszkanie i środki utrzymania, pewien zbytek w ubraniu, na który naraża wielkie miasto, brak opieki w razie choroby. Wszystkie te warunki pchają dziewczynę na bezdroża, nawet wtedy, gdy nie przyczynia się do tego jej własna lekkomyślność. Zakończyła prelegentka swój wywód uwagą, że jest bardzo naglącą potrzebą zaprowadzenie reformy w systemie obsługi domowej w wielkich miastach.

Kongres rzemieślników wydał następującą odezwę:

»Jest dowiedzionem, że najlepsze i najkorzystniejsze skutki ma agitacya kobiet między robotnicami, aby je pozyskać dla organizowania się. Wobec tego postanowiła komisya generalna wybrać komisyę agitacyjną złożoną z samych kobiet, których obowiązkiem będzie udawać się wszędzie (naturalnie w Niemczech), gdzie tylko kobiety, jako robotnice pracują w przemyśle, aby je przekonać o potrzebie zorganizowania się i doprowadzić do zorganizowania się. Obowiązkiem cechów jest ułatwiać pracę komisyi agitacyjnej przez dostarczenie potrzebnych wiadomości, koszta zaś poniesie komisya generalna, w razie gdy ich nie mogły pokryć cechy. Koszta, które komisya generalna obowiązuje się pokryć w razie potrzeby są: za zgromadzenia, druki, porta i posiedzenia jako

wydatki komisyi agitacyjnej — zawsze pokrywa komisya generalna i ma prawo być na każdem posiedzeniu komisyi agitacyjnej. Agitacyę tam, gdzie cech nie może ponosić kosztów, można przedsiębrać tylko za zgodą komisyi generalnej. Komisya agitacyjna jest obowiązana w »Correspondenzblatt« zamieszczać co pół roku sprawozdania ze swojej działalności. *Gleichheit.*

Senat w Marylandzie (jak donosi »Gleichheit«) postanowił dopuścić kobiety do adwokatury. Jest prawie pewne, że rząd przychyli się do postanowienia senatu. Pierwszą adwokatką w Marylandzie jest Miss Maddox z Baltimory. Po ukończeniu nauk prawnych walczyła Miss Maddox z wielką energią o dopuszczenie kobiet do stanowisk pozwalających robić użytek ze zdobytej wiedzy prawnej.

Międzynarodowa wystawa prac kobiecych artystycznych i domowych w Paryżu otwarta w czerwcu trwać jeszcze będzie do października.

Wystawa jest podzielona na ośm grup obejmujących 30 sekcyi. Pierwsza grupa zawiera prace przedstawiające działalność kobiety w historyi i etnografii. Druga grupa obejmuje prace dające obraz działalności kobiecej w domu: jako dziewczęcia, żony, matki, wychowawczyni i gospodyni. Trzecia grupa przedstawia prace robotnicy to jest kobiety pracującej po za domem. Czwarta grupa zebrała wszystkie dzieła przemysłu domowego: tkactwa, koronek klockowych, szycia, robót drutowych, kwiatów sztucznych i t. d. Piątą grupę stanowią kobiece dzieła sztuki: malarskie, rzeźby i przemysł artystyczny. Szósta grupa obejmuje prace kobiet na polu nauki i literatury. Ósma grupa przedstawia znaczenie kobiety w ekonomii społecznej. Wystawę tę zainicyowało stowarzyszenie kobiece »Fédération féministe«, ono ją doprowadziło do skutku, a dochód jest przeznaczony na urządzenie stałej wystawy prac kobiecych połączoną z muzeum, szkołą dla kształcenia się kobiet w różnych sztukach i robotach, oraz sklepem, któryby zbywał te różne wyroby. Paris, Fédération féministe, rue Antoine-Roucher 10.

Pierwsza kobieta zegarmistrzem. W lipcu b. r. panna Eibuschitz pierwsza kobieta otrzymała świadectwo ukończenia nauki zegarmistrzowstwa od wiedeńskiego Stowarzyszenia zegarmistrzów. Początkowo Stowarzyszenie wzbraniało się dopuścić uczenicę do terminowania. P. Eibuschitz jednak energicznie udała się ze swą sprawą do namiestnictwa i to wydało rozporządzenia przyjęcia jej na uczenicę. Terminatorka pracowała pilnie 4 lata i dziś dostała stopień pomocnika zegarmistrzowskiego. Jej naczelnik, u którego terminowała, wyraził, że zupełnie niesprawiedliwie przeszkadzał jej w przystąpieniu do pracy.

Panna Ida Szendeff otrzymała stopień doktora medycyny na uniwersytecie w Budapeszcie.

Panna Vera Filipovics została promowana na doktora filozofii na uniwersytecie w Zurychu.

Panny von Benningsen i Kummert zostały mianowane w Berlinie asystentkami inspekcyi przemysłowej. W Altenburgu zaś panna Brieger została asystentką inspekcyi fabrycznej.

„Głos Polek“ donosi, że p. Selma Franke znana pod pseudonymem Otto-Weill, założyła w Nowym Jorku klub kobiecy, mający na celu zaznajamiać członków-kobiety z literaturą powszechną.

W Szwajcaryi w kantonie Waadt, w Cery pannę Susczińską mianowano asystentką naczelnego doktora w szpitalu dla obłąkanych.

W Hali panna Marya Wygodzińska otrzymała stopień doktora medycyny.

»Głos Polek« donosi, że w liczbie 30,370 słuchaczów w wyższych zakładach naukowych jest 1084 kobiet: 673 francuzek i 411 cudzoziemek. Na medycynie 412, na prawie 12.

Dnia 18 maja b. r. odbyła się konferencya robotników i robotnic wszystkich państwowych fabryk tytoniu w Wien-Ottakring. Było 26 żeńskich i 21 męskich przedstawicieli. Po przedstawieniu smutnych warunków pracy przy niedostatecznem wynagrodzeniu i złych stosunkach odnoszących się do Kasy chorych — postanowiono przeprowadzić organizacyę państwową. Przygotowaniami do tej organizacyi ma się zająć przemysł tytoniowy w Wiedniu w połączeniu z komisyą

przemysłową, austryacką. Uchwalono na początek wnieść podanie do rządu w kwestyi podniesienia warunków materyalnych pracy, a w kwestyi zachowania się Kasy chorych postanowiono interpelować ministra finansów.

Działalność kobiet w berlińskim zakładzie sierót jest w skutkach tak dobra, że miejski Zarząd sierotami wyraził wielkie o niej pochwały i wystosował prośbę gorącą do radców, żeby zjednali kobiety na urząd specyalny do pielęgnowania sierót.

W Hessyi wszędzie wciągnięto w miastach kobiety do pielęgnowania sierót. W Ulm uchwalono dopuścić niewiasty do godności radców dla ubogich i powierzyć kobietom pielęgnowanie sierót.

W Berlinie już wybrano kobietę do opiekowania się ubogimi, jest nią pani Marya Ladewig.

W Szwecyi, w Sztokholmie, wniosły kobiety tam zamieszkałe petycyę do namiestnictwa przeciw uprawnieniu prostytucyi. Petycya jest opatrzona 15438 podpisów kobiet różnych stanów.

W Finlandyi Senat wyznaczył po 5500 marek rocznie na 3 lata, na próbne obsadzenie posady inspektora przemysłowego kobietą.

W Kopenhadze odbyła się konferencya przedstawicieli Międzynarodowego związku kobiet.

W kongresie brały udział kobiety z następujących krajów: Prezesowa Międzynarodowego związku kobiet z Indyanopolis, pani Young Gates z Utah, panie Sanford i Dignam z Kanady, pani Dobson z Tasmanii, panna Kremer z Holandyi, Doktór Ellen Sandelin ze Szwecyi, prezesowa Niemieckiego związku kobiet pani Marya Stritt z Drezna, austryacki Związek kobiet reprezentowała pani Dr. Eugenia Schwarzwald.

Na porządku dziennym były sprawozdania z ruchu pisma kobiecego, sprawozdanie skarbniczki Międzynarodowych komisyi i komisyi poszczególnych krajów, sprawozdanie ogólne roczne prezesowej i wielka ilość różnych wniosków. Jeden z nich dowodził potrzeby utworzenia specyalnej »Komisyi do szerzenia internacyonalizmu«. Inny wniosek polecał roztrząśnięcie kwestyi przyłączenia innych międzynarodowych organizacyi do Międzynarodowego związku kobiet, do którego dotąd należały tylko poszczególne krajowe stowarzyszenia.

Stowarzyszenie kształcących się kobiet i dziewcząt w Augsburgu, jak donosi »Gleichheit«, ogłosiło następujące sprawozdanie z półrocznej swej działalności. Stowarzyszenie to istnieje od września roku ubiegłego i liczy 67 członków. Przez ten czas odbyło się 6 zgromadzeń urozmaiconych odczytaniem z różnych dziedzin. Pan Landgraf, zwolennik *Naturheilkunde* mówił o pielęgnowaniu skóry i chorobach kobiecych; pan Greifenberg o Adalbercie z Chamissa i Klarze Müller; adwokat Sand o obrazach mistrzów, pani Marya Greifenberg »O kobiecie mieszczance jako robotnicy fabrycznej«. Dochód Stowarzyszenia wynosił 94·55 marek, rozchód 57·65 m. W końcu kwietnia urządziło Stowarzyszenie wielką zabawę wiosenną, która pomnożyła liczbę członków. Członkowie pracują usilnie około rozwinięcia Stowarzyszenia, około własnego kształcenia się a przedewszystkiem starają się kształcić mówienie publiczne. Pierwszy odczyt miała pani Rollwagen w Stowarzyszeniu o Mikołaju Lenau. Odczyt ten podobał się i słuchaczki wyraziły nadzieję, że pani Rollwagen zechce im zrobić przyjemność drugim odczytem a może niejedna ze słuchaczek pójdzie za jej przykładem.

ADAM ZNAMIROWSKI.

LUCYPER.

W mych wnętrznościach świadomość płonęła krwią słońca
Z palców moich się lała światłość wiekuista
I wszystkich światów wieczność zgrzybiała ciernista,
Po mej twarzy spłynęła jak łza gorejąca;
Wszechwiedzy mej jasnością ostrą, przeraźliwą
W proch wdeptałem naiwne obłoki miraży
Zdarłem płachtę nadziei i glinę cmentarzy
I w dech mój się wczołgało trupie prawdy szkliwo.
Wszechwiedzy mej świecące krwawe widnokręgi
Rozdarły byt, że pęknął jak spruchniała trumna,
Milion nieskończoności złowrogiemu wstęgi
Udusiła myśl moja obłąkana, dumna,
I krzyk się potargany wydarł z mojej krtani:
W śmiech zbrojna nieskończoność wyjrzała z otchłani.

SZATAN.

Z rozpaczy ulepione wapno moich kości
Żyły moje ze żalu a krew jest z przekleństwa
Duszą się w mojej piersi wszechczasów męczeństwa
Za ojców mam otchłanne łzy i nieprawości.
Matka moja jak lilia była i święta;
I na mojej krwiożernej, wyuzdanej twarzy
Dziewictwo obłąkane chucią, smutnie marzy.
Oczy me się przed zbrodnią śmieją jak dziecięta,
W tym śmiechu niemowlęcym przy którym me ręce
Szarpią bolu ludzkiego otwarte wnętrzności,
Bezbrzeżnej mej pogardy zaklęte wieczności;
Wszystek on lichym żartem jest przy mojej męce,
Przy miłości co zżarta swą głębią straszliwą
Pękających arteryi zabija cięciwą.

R. L. STEVENSON.

WILL Z MŁYNA.

RÓWNINA I GWIAZDY.

Młyn, w którym mieszkał Will ze swoimi opiekunami, wznosił się na kotlinie otaczającej się pagórkowato między lasami szpilkowymi i wysokiemi górami. Ponad nią szczyty i szczyty piętrzyły się, aż wreszcie wynurzały się z gęstych lasów i nagie sterczały ku niebu. Nieco wyżej leżała długa, szara wioska po-

dobna do szwu lub do łachmana pary na stoku zalesionym; a kiedy wiatry sprzyjały, dźwięk dzwonów wiejskich, cienki i srebrny, dochodził aż do uszu Willa. U spodu kotlina coraz bardziej strzępiła się i rozszerzała równocześnie a z pagórka poza młynem można ją było objąć całą, sięgnąć nawet dalej, aż do rozległej równiny, na której lśniła w słońcu rzeka, idąca z miasta do miasta w swojej krętej wędrówce ku morzu. Przypadkiem poza tą równiną znajdowało się przejście, wiodące do królestwa sąsiedniego; tak, że gościniec, ciągnący się wzdłuż rzeki, acz spokojny i sielski, był niemniej miejscem przeprawy, łączącem dwa świetne społeczeństwa i potężne. Przez całe lato bryczki podróżne pięły się mozolnie pod górę lub zjeżdżały cwałem tuż koła młyna. Ponieważ z drugiej strony spadzistość była znacznie łagodniejsza, więc drogą koło rzeki szli tylko ludzie zdążający w oznaczonym z góry kierunku. Z pośród wszystkich powozów, które mijały Willa, pięć szóstych zjeżdżało cwałem, jedna szósta tylko pięła się mozolnie pod górę. Gorzej jeszcze było z pieszymi. Wszyscy turyści, którzy nogi mają lekkie, i wszyscy przekupnie obarczeni dziwacznymi towarami szli w dół jak ta rzeka, która towarzyszyła im w drodze. I nie koniec na tem! Albowiem, gdy Will jeszcze był dzieckiem, wielka klęska spadła na rozległą część świata. Dzienniki pełne były porażek i zwycięstw, ziemia dudniała pod kopytami końskiemi, a często przez dni całe i noce, naokoło młyna, zgiełk bitwy odganiał od robót w polu uczciwych ludzi przerażonych. O tem wszystkiem bardzo długo nie słyszano ani słowa w kotlinie. Atoli w końcu jeden z dowódców pchnął swoje wojsko przyspieszonym marszem przez równinę i przez trzy dni jazda i piechota, działa i wozy prochem ładowne, bębny i sztandary z hukiem i dudnieniem przechodziły koło młyna. Przez cały dzień dziecko stało i śledziło ich poruszenia; rytmiczne stąpanie, blade, niegolone twarze, zsiniałe koło oczu, mundury spłowiałe i chorągwie postrzępione przejmowały je uczuciem niemocy, litości i podziwu; i przez całą długą noc, kiedy już Will spoczywał w łóżku, słyszał, jak działa miażdżyły ziemię, jak gniotły ją nogi stąpające rytmicznie i jak cała wielka armia szła i wracała koło młyna. Nikt w kotlinie nie wiedział o losie wyprawy, albowiem trzymano się zdala od szlaków gadulstwa w tych czasach zamętu. Wszelako Will jasno widział rzecz jedną: to że nikt z tych ludzi nie wrócił. Dokądże poszli wszyscy? Dokąd szli wszyscy turyści i wszyscy przekupnie z swymi dziwacznymi towarami? Dokąd szła woda rzeki, ciągle tocząca się w dół i ciągle odnawiająca się u góry? Sam nawet wiatr dął częściej w kierunku spadku kotliny i unosił z sobą liście obumarłe. Rzekłbyś: wielkie sprzysiężenie rzeczy ożywionych i martwych. Wszystko zdążało w dół, wesoło i raźno; on sam, o ile się zdawało, zostawał w tyle, jak pień na skraju drogi. Czasem z radością miarkował, że ryby unosiły głowy przeciw prądowi. Przynajmniej one przy nim zostały wiernie, kiedy wszystko szło precz, w dół, daleko, ku światu nieznanemu.

Pewnego wieczora zapytał młynarza dokąd idzie rzeka?

— Stacza się po dolinie, odrzekł młynarz, obraca koła młyńskie, więcej

niż sto, jak mówią, aż do Unterdech, i to jej nie nuży. Potem płynie ku równinom, nawodnia rozległe kraje zbożem najeżone, i przerzyna miasta przepyszne (jak opowiadają), gdzie królowie samotnie żyją w wielkich pałacach, a placówka kroczy wszerz i wzdłuż przed podwojami. Potem płynie pod mostami wspartymi na ludziach kamiennych, którzy wpatrują się w wodę z zagadkowym uśmiechem, a są także ludzie z krwi i z kości, którzy opierają się łokciami o poręcze i patrzą w dal. Potem nie ustaje w biegu, lecz zstępuje w błota i piaski, aż w końcu rzuca się do morza, na którem są okręty, przywożące z Indyj papugi i tytoń. O! daleko jej jeszcze stąd, od tego młyna, koło którego, śpiewając, przepływa; niech Bóg jej błogosławi!

— A co to jest morze? zapytał Will.

— Morze! odpowiedział młynarz. Niechaj nas Pan ma w swej opiece, jestto największa rzecz, jaką Bóg stworzył. Tutaj to wszystka woda świata zlewa się w wielkie słone jezioro. I otóż ono, morze, tak płaskie jako ta dłoń moja, a powietrze nad niem niewinne jak dziecię. Ale mówią, że gdy wiatr zadmie, wzdyma się morze i tworzy góry wodne potężniejsze od naszych gór, a wtedy pochłania wielkie okręty, większe od naszego młyna i wydaje z siebie ryk taki wielki, że można słyszeć na mile i mile wskroś pól. Są w niem wielkie ryby, pięć razy większe od byka, i stary wąż tak długi jak nasza rzeka i tak stary jak świat, z brodą do ludzkiej podobną i z koroną srebrną na głowie.

Will pomyślał, że nigdy o czemś podobnem nie słyszał i powstrzymał się od zadawania jednego pytania za drugiem co do tego świata, leżącego u dołu rzeki, pełnego niebezpieczeństw i cudów, aż w końcu stary młynarz, sam bardzo zaciekawiony, wziął go pod rękę i zaprowadził na szczyt góry, która panuje nad kotliną i nad rozległą równiną u dołu. Słońce bliskie zachodu wisiało bardzo nizko na niebie bez skazy. Wszystko delikatniało i jaśniało w złotem świetle. Will nigdy w życiu nie widział tak rozległej przestrzeni. Stał nieruchomo i patrzył wszystkiemi oczami. Mógł widzieć miasta i lasy i pola i migocące zakręty rzeki, i bardzo daleko miejsce, w którem skraj równiny zwierał się z roziskrzonem niebem. Potężne wzruszenie wstrząsnęło duszą i ciałem dziecka. Serce mu biło tak mocno, że nie mógł oddychać. Krajobraz rozpływał mu się przed oczyma. Zdało mu się, że słońce obraca się jako koło i, że w swojem krążeniu rozrzuca formy swoje dziwaczne, które znikały z chyżością myślenia, aby ustąpić miejsca nowym formom. Will zakrył twarz rękoma i zalał się łzami; a biedny młynarz smętnie rozczarowany i cały zmięszany, nie umiał zdobyć się na nic, więc wziął go na rękę i w milczeniu zaniósł do domu.

Od tego dnia Will pełen był nowych nadziei i tęsknot nieznanych. Nieustawnie coś drażniło go w sercu. Woda mknąca unosiła jego pragnienia, gdy marzył ponad jej powierzchnią spienioną. Wiatr, przebiegając wierzchołki drzew niezliczonych, witał go słowy pełnemi otuchy. Gałęzie wskazywały mu drogę na dół; gościniec, ginący w zagięciu coraz szybciej u spodu kotliny, dręczył go swymi wyzywami. Długo przebywał na tej wyniosłości, patrząc na bieg wody,

potem w dal na płaszczyzny. Spoglądał na chmury, które mknęły z wiatrem i wlokły za sobą swe cienie purpurowe po równinie, albo też kładł się na skraju gościńca i ścigał oczyma powozy, które z wielkim łoskotem staczały się w kierunku rzeki. I cokolwiek się oczom zdarzyło, wszystko, co szło tą drogą, chmura czy powóz, ptak czy czarna prądu woda, za wszystkiem szło Willa serce pełne oczekiwania.

Ludzie uczeni mówią nam, że wszystkie przygody żeglarzy na morzu, że cała ta wędrórka plemion i narodów, które pyłem swym i rozgwarem hałaśliwym mąci jasność starych dziejów, że wszystko to ma początek w rzeczy tak prostej, jak prawa podaży i popytu, i w pewnym przyrodzonym popędzie do łatwego życia. Ci wszyscy, którzy myślą zachodzą nieco głębiej, dostrzegą odrazu, jak smętne i marne to wyjaśnienie. Jeżeli plemiona, które szły z północy i zachodu były pchane przez inne plemiona, zdążające za niemi, to równocześnie czuły magnetyczny pociąg południa i wschodu. Sława innych krajów doszła aż do nich; imię wiecznego miasta wdzierało im się w uszy. Nie byli to osadnicy, lecz pielgrzymi. Zdążali za winem, za złotem, za słońcem, lecz serca ich biły ku rzeczom szlachetniejszym; ten boski niepokój, ten dawny nieustający lęk ludzkości, który stanowi wielkość jej zdobyczy i nędzą jej upadków, on który rozpiął skrzydła Ikarowi, który pchnął Kolumba na rozpaczliwą pustkę Atlantyku, natchnął i potem podtrzymywał tych barbarzyńców w niebezpiecznym pochodzie. Jest stara legenda, która na sposób bardzo głęboki tłomaczy ich uczucia. Garść tych awanturników spotyka starca okutego w żelazo. Starzec pyta, dokąd idą; a oni jednym głosem odrzekli: »Do miasta wiecznego!« Spojrzał na nich poważnie: »Szukałem go, rzekł, na całej niemal powierzchni świata. Na jednej z moich pielgrzymek zużyłem trzy pary obuwia takiego oto, jak teraz noszę, a czwarta wycieńcza się nieubłaganie pod mojemi stopami. I przez cały ten czas nie znalazłem miasta!« Potem odwrócił się i poszedł swoją drogą samotną, pozostawiając za sobą przejętych zdumieniem barbarzyńców.

To jednak zaledwie dorównałoby sile uczucia, jakie żywił Will dla równiny. Rozumiał, że gdyby jeno mógł pójść dość daleko, aby ją ujrzeć, naówczas spojrzenie jego byłoby czystsze i jaśniejsze, słuch jego był ostrzejszym a nawet fale oddechu płynęłyby pyszniej. Był jako ziele na obcą ziemię przesadzone, usychał. Wygnany na tę ziemię dziwaczną, tęsknił za utraconą ojczyzną. Zwolna zdołał skupić wyobrażenia rozproszone o świecie, toczącym się w dole; o rzece ciągle ruchliwej, ciągle wzdymającej się gniewnie i zdążającej wartkim pędem ku majestatycznemu oceanowi; o miastach pełnych ludu krasnego i pysznego, o fontannach tryskających, o tłumach grajków i pałacach z marmuru jarzących się nocą od błysków złotych gwiazd sztucznych od końca do końca; o wielkich kościołach, o mądrych wszechnicach, o uczuciach bohaterskich i nieprzebranych stosach pieniędzy, zalegających głębokie piwnice; o występkach, które w dzień jasny kroczą pod słońcem i o zbrodni, które chybko słoni się w tajemnicach nocy. Powiedziałem, że tęsknił jakby za Ojczy-

zną. Porównanie niedokładne. Był jako człowiek, tonący w mrocznem i bezkształtnem przedistnieniu i wyciągający miłośnie ramiona ku barwnemu i gwarnemu życiu. Nic dziwnego, że był nieszczęśliwy i że poszedł rybom się zwierzyć. One były stworzone dla tego życia. Nie pragnęły niczego nad robactwo, nad wodę ruchliwą i jakąś skrytkę pod kamieniem. Lecz on, on był na świecie dla innych przeznaczeń. czuł tęsknoty i pożądania, czuł jakby kłucie w palcach i żądzę w oczach, której nie zdoła zaspokoić nawet różnorodność tysiąca postaci świata. Życie prawdziwe, prawdziwe słońce jaśniejące było daleko na równinie. Jeno zobaczyć raz jeden tę jasność promienną, zanim umrzeć przyjdzie! Kroczyć z myślą radosną po ziemi złoconej! Słyszeć pieśni rzecznych śpiewaków i dźwięcznych dzwonów kościelnych i widzieć zabawy w ogrodach!

— Gdybyście wy ryby, mawiał, chciały jeno zawrócić z biegiem, popłynęłybyście tak łatwo na wody jaśniejące! I ujrzałybyście ogromne okręty, jak przemykają wam ponad głowami niby chmury i słyszałybyście, jak wielkie góry wody nucą swą pieśń przez cały długi dzień!

Lecz ryby cierpliwie patrzyły ciągle w tymsamym kierunku, a Will już nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać.

Do tej pory ruch na gościńcu zdawał się Willowi jakby widziadłem na obrazie. Czasem oddawał pozdrowienie jakiemuś turyście, albo też przypatrywał się staremu panu, wyglądającemu z powozu. Lecz przeważnie wszystko to było dlań tylko obrazem, na który patrzył zdaleka z zabobonnem nieco uczuciem w sercu. Chwila nadeszła wreszcie, w której wszystko miało się zmienić. Młynarz, który na swój sposób był człowiekiem roztropnym i nigdy nie pomijał sposobności uczciwego zarobku, zamienił młyn swój na oberżę, wybudował stajnie i przyjął posadę poczmistrza. Od tej pory Will musiał usługiwać podróżnym, którzy zasiadali do stołu w altanie. I możecie uwierzyć, że natężał słuch i że przy obnoszeniu leguminy lub wina wielu nowych dowiedział się rzeczy o świecie. A nawet bardzo często nawiązywał rozmowę z samotnymi gośćmi i przez zręczne pytania i grzeczną usłużność nietylko zaspakajał własną ciekawość, lecz nadto zjednywał sobie względy podróżnych. Wielu wychwalało tego służącego przed starymi gospodarzami. Profesor jakiś chciał go zabrać z sobą na równinę i dać mu tam odpowiednie wykształcenie. Gospodarze bardzo się dziwili, i jeszcze bardziej się radowali. Pomyśleli, że założenie oberży było pomysłem bardzo dobrym. »Widzi pan, mawiał starzec, on ma pewnego rodzaju talent gospodarski. Nigdyby żadnej innej pracy się nie jął«, i życie to-
[illegible] wielkiej wszystkich prócz Willa ucieszę. Każdy

THERESITA.

STYGMAT.

O Satan aie pitie de ma longue misère·
Ch. Baudelaire.

DOKOŃCZENIE.

...I nigdy pod szarą suknią postulantki nie biło serce bardziej uciszone. Kolczastym sznurem biodra opasała, a co noc krwi ciepłej strumienie spływały strugą wzdłuż giętkiego ciała.

Rozwijała się — żyła.

Mury klasztorne stłumić nie zdołały ognia, co w piersi jej płonął, rozlewając się na zewnątrz cichym uśmiechem błogosławionych.

I nigdy uśmiech ten nie znikał jej z twarzy — uśmiechem chciała ciało swe ujarzmić, zwyciężyć piekło i rozbroić świat, uśmiechem mury klasztorne rozświecić, mury miłości swą rozgrzać.

A głos jej biały, postem oczyszczony i przesycony kadzideł wonią, rwał się w niebiosa tęsknotą bez granic za dniem dziewictwa, dniem odkupienia, dniem cudu.

I nigdy człowiek tak nie był kochany, bo ubóstwiała go miłością swoją i ponad wszystkich ludzi wywyższyła...

I stał się jako Cherub czarny z piersią krwawiącą, z zwichniętemi skrzydły, z piętnem zatracenia na czole, wielki śmiertelną nudą życia i nieskończonym bólem grzechu piękny...

I oto duszę jego zbawić chciała, w nim milion dusz, w nim świat zbawić cały.

Ach cierpieć, cierpieć — przejść przez wszystkie ciernie, wszystkie krzyże podnieść na szczyt, na szczyt... wyżej.

I postawić stos wielki, w niebo sięgający, sercem na nim spłonąć, aż stanie się jako brylant czyste i bez skazy, na okup dla ciebie...

O drogi!!! . . . .

. . . .

. . . .

Na popiele rozesłana, w ślubne jedwabie spowita, w dziewiczym wieńcu

śpiew... znała ten śpiew, każdy ton znała, każde tonu drgniente... Palił ją, smagał, przytomność odbierał ten śpiew — ten śpiew tam — wtedy — razem. — On...

I płomień wahającej lampy, jaskrawa czerwień chorągwi drgająca i mroczny filarów cień...

On wracał — on.

I wszystkie pulsa, jak dzwony zabiły napowrót jego rozkosznym krwi gwarem...

On wracał — on...

Nie broniła się...

Przeklęta, przeklęta — w wir — w wir, o niezgłębiona, zawrotna rozkoszy toń, o morze słodyczy nieskończonej, nasycić się, napić, zanurzyć na wieki.

Tarzała się, wiła, trwogą oszalała, chwilę — jeszcze chwilę — jeszcze — jeszcze — jeszcze. Płonące czoło cisnęła do ziemi...

Śpiew umilkł.

Zerwała się szybko — całun odrzuciła — śmiałym, gwałtownym i namiętnym ruchem, oczy przymknęła i podała usta jak wtedy — jak wtedy...

Na twarzy trysnął ciemny, krwawy stygmat...

Krzyknęła i padła zemdlona . . . .

. . . .

. . . .

Stała oparta o klasztorną studnię, wpatrując się w przepaścistą głąb.

Wiedziała — wszystko teraz wiedziała z jakąś dokładną wizyonerską pewnością.

Zabił się...

Tak...

A więc nie mogła duszy jego zbawić...

Napróżno — wszystko napróżno... Zwyciężył ją — pokonał, pociągnął. On...

Wyprężyła ramiona, odetchnęła głęboko, swobodnie. Stało się — ciężar z piersi spadł.

Całą szumiącą ciszę nocy, cały gwiaździsty szafir nieba czuła teraz w sobie.

Podniosła głowę, spojrzeniem dosięgła aż gwiazd...

Cóż było niebo? Cóż było zbawienie? Cóż żywot wieczny?

Ach nudna, blada, słoneczna ekstaza, ostateczne duszy roztopienie, w którem świadomość niknie, a gubi się odrębność istot.

Śmiała się do gwiazd... Dumna, zuchwała rozkosz pierś jej wypełniała.

Śmierć mię już nie trwoży, piekła się nie lękam! O drogi!

Potępiona przez ciebie, dla ciebie i z tobą na wieki...

I tam nie zapomnę i tam nie zaginę i tam będę twoja grzechem zaślubiona, bólem wiecznym żywa, twoja na wieki...

Księżyc złotem pasmem słał jej się do stóp.

Spojrzała...

Księżyc ten patrzy może i na ciebie, o drogi!

Księżycem uśmiech do niego posłała ostatni...

I rozpuściła włosy, długie, miękkie i pachnące włosy; nakryła się niemi.

Gładził je, pieścił on... I całowała ręce swoje, ręce, które on trzymał, ręce, które on ściskał. On..,

A potem rzuciła się na ziemię i ze wszystkich sił do ust przycisnęła, całą duszę wlała w ten pocałunek i czuła, że gdziekolwiek był, znaleźć go musiał i płomieniem dotknął.

I niebo, i ziemię, i księżyc, i gwiazdy, i drzewa, i kwiaty, i mury klasztorne objęła raz jeszcze miłości spojrzeniem, jakby zatrzymać, zapamiętać chciała...

Zamknęła oczy.

Wciągnęła powietrze.

»W imię twoje..«

Skoczyła . . . .
. . . .

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

Wilhelm Feldman: »Piśmiennictwo polskie ostatnich lat dwudziestu«. Lwów. Księgarnia H. Altenberga. 1902.

Marya Raczyńska: »Dzienniczek Hanusi Tynieckiej«. Powieść dla dorastającej młodzieży. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. — Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1903.

Dr. Salomea Perlmutter: »Karl Menger und die österreichische Schule der Nationalökonomie«. Eine kritische Untersuchung der Hauptlehren. Bern. Verlag von C. Sturzenegger 1902.